

dodatek literacki

Gazeta Nagrody Literackiej Gdynia
Listopad 2007 dodatek literacki NR 1
www.nagrodaliterackagdynia.pl
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

WYWIAD

Wolna i suwerenna „Gdynia”

rozmowa

z Jerzym JARNIEWICZEM
o nagrodach literackich

POEZJA

„Powiedz mnie pięknie i bez reszty”

o twórczości Krystyny
MIŁOBĘDZKIEJ pisze
Jarosław BOROWIEC

FELIETON

Książki łatwopalne

Michał WITKOWSKI

Jako tako

Daniel ODIJA

DRAMAT

Raportowanie rzeczywistości

analizuje

Joanna PUZYNA-CHOJKA

Fundator „Dodatku Literackiego”



Literatura hitów i kitów

– dyskutują Paweł Huelle i Michał Piotrowski

s. 10

SŁOWO WSTĘPNE

Od redaktora PROwadzącego



Cyprian MACIEJEWSKI

„Kije bejsbolowe służą do gry – i to prawda. I owe służą do bicia – i to realia” – szorstko przypomina mi właśnie z głośnika bezcenna dla mnie *Poema Faktu...* Współczesna literatura przynosi do powyższego prostą analogię.

Służy ona rozmaitym szczytnym celom i to prawda. I owa chęć szybkiego wypromowania się autora – to częstokroć realia. Zresztą, dobitniej traktuje o tym na sąsiedniej stronie Michał Witkowski. Moje pytanie brzmi: dlaczegoż to czysty marketing miałby pomijać twórczość literacką, skoro zazwyczaj nie przepuszcza niczego? W jej obszarze działają te same rynkowe mechanizmy. Zgadza się, ale pod jednym warunkiem, że zakładamy sprzedaż i zyski.

A gdyby Nagroda Literacka Gdynia, zgodnie ze swoją nadrzedną ideą trwałego pobudzania do dyskusji i aktywności kulturalnej, pokłoniła się w pas polskiej literaturze i zaproponowała Państwu m.in. „Dodatek Literacki”? Prawdopodobnie wtedy sztab marketingowców ofukałby inicjatywę, bo fundator „Dodatku” nie dość wykorzystał potencjał reklamowy.

Tak też było w moim przypadku, ale doszło do szybkiej rewizji poglądów. Koncepcja sprawnie powędrowała od stworzenia dodatku wizerunkowo-reklamowego do literackiego, choć nikt niczego mi nie sugerował.

Im bliżej poznawałem osoby, stanowiące o charakterze „Gdyni”, tym bardziej przekonywałem się, że nagroda została powołana nie tylko w celu promocji miasta, ale przede wszystkim dla rozwoju czytelnictwa i polskiej literatury współczesnej.

Czy nie można, chociaż czasem, angażować się – jak pięknie to wyraziła w swojej poezji Krystyna Miłobędzka – w „słowo podane zamiast ręki”? Otóż można, a nawet trzeba. Tak samo jak ratować ginące gatunki rysia czy pandy. **W dobie nowych mediów i wtórnego analfabetyzmu, który poniekąd nam grozi, tradycja wydawania dodatków literackich, jeszcze tak żywa w prasie w latach 90., obecnie ma coraz mniej kontynuacji.** A przecież polska literatura to wciąż smakowity kąsek, jak ten bób zatopiony w maśle, którym teraz się zajadam.

Nagroda Literacka Gdynia to forum wymiany myśli o literaturze. Tak, piszemy o niej tutaj sporo, ponieważ wierzymy, że to znakomite przedsięwzięcie i Gdynia robi wszystko, co w jej mocy, aby jej nagroda stała się dobrem wspólnym. Niemniej, jej istnienie i siła tkwią właśnie w rodzimych czytelnikach i pisarzach, więc przede wszystkim o nich i dla nich jest ten tuzin stron, rozpowszechniony dzięki uprzejmości „Dziennika”. Bo jak zostanie tu słusznie powiedziane: „nie warto brać się za rzeczy małe”. I wcale nie chodzi wyłącznie o nakłady środków i pracy.

Bób się kończy... Po takim wstępie czuję się redaktorem PRO, ale pewnie jestem już Państwu ciut wadzący. Najwyższa pora oddać niniejsze tamy mądrzejszym głosom. Czynień to z wielką przyjemnością.

FELIETON

Jako tako

Zdarza mi się mieć spotkania z licealistami i gimnazjalistami. Z racji swojego wieku (śmiem twierdzić, że trzydzieści trzy lata, które udało mi się osiągnąć, to wcale nie tak wiele) jestem dla nastolatków jako tako zrozumiały. Gdy chcę do nich dotrzeć i utrzymać jako taką dyscyplinę, wybieram ze swoich książek te najpikantniejsze fragmenty, ostre i siarczyste, takie, w których wulgaryzm sypie się znienacka i uderza w głowy jak młode wino.

Daniel ODIJA
pisarz, dziennikarz
TVP Gdańsk

Wtedy młodziaki zaczynają chichotać, a dziewczyny dostają wypieków. Próba podrzucenia im bardziej poetyckiego kawałka za każdym razem rozbija się o mur zbudowany z ziewających ust. Zapadam się w ich znużenie i dochodzę do wniosku, że jedyną szansę na zainteresowanie mam tylko wtedy, gdy spróbuję zniszczyć stawiane przez nauczycielki języka polskiego pomniki pisarzy myślicieli, pisarzy zanurzonych we wzniosłych ideach, pisarzy całymi dniami siedzących z piórem w ręce przed kartką papieru i składających słowo za słowem, zdanie za zdaniem, z których budują najmniej potrzebne budowle świata. Znużony nastolatek w nich nie zamieszka.

Dlatego zaczynam mówić o książkach moich kumpli. Najpierw, że piszą na komputerach i laptopach, żeby dla młodzików było jasne, że do epoki kamiennej młody pisarz nie należy i z techniką współczesną jako tako jest zaznajomiony. Później, żeby podkreślić śrubę, mówię, że na przykład taki Mirek Nahacz (mój serdeczny kolega, pewnie kopiesz sobie teraz skrzyty z Burroughsem i pojawisz się w snach Pynchona) pisze o grzybach halucynogennych i w ogóle o narkotykach, szalonych imprezach, co jest oczywiście okrutnym spłaszczeniem jego pisania, ale jak inaczej zachęcić młodzików, żeby sięgnęli i czytali? Na drugi odstrzał idzie Dorota Masłowska i sprzedaje młodziakom wierutne kłamstwo, że Masłowska swoją książkę napisała o dresiarzach i jeśli to nie robi wrażenia, mówię rytmicznie, odpowiednio machając rękami, o hip-hopowym rytmie jej drugiej książki. Jestem podskakującym pajacykiem, błaznem na scenie dusznej biblioteki

albo klasy, który próbuje zarazić swoim entuzjazmem do literatury pogardliwą publiczność. Moja banalna bajka o tym, że może warto czasami poczytać, choćby dlatego, że samemu można wyobrazić sobie bohatera, a nie tylko przyjmować gotowy szablon podrzucony przez film albo grę komputerową, spotyka się ze spojrzeciami pełnymi niedowierzania.

Dlatego brnę dalej i wypalam, że w „Gnoju” Wojtki Kuczoka ojciec łoi skórę swojemu synowi, a wtedy widzę, że kilka głów, które do tej pory pochylone szepotały między sobą, zadowolone, że właśnie mijają im matka, podnosi się i wydaje mi się, wydaje, że jestem tuż, tuż, zaraz ci, których edukacja zakończyła się na psie, który jeździł koleją, wypychając sobie Kuczoka i zaczął szukać tego fragmentu, gdzie ojciec łoi synowi skórę. Dlatego, żeby ich dobić, wypalam z najpotężniejszej armaty i mówię, czy znają takiego sędziwego pisarza Andrzeja Stasiuka. Oczywiście, nikt nie zna. Gdzie na Pomorzu i w liceum, ktoś znałby Stasiuka! No to powiadam im, że to pisarz, który za komuny swoje przesiedział w więzieniu i o tym więzieniu napisał takie „Mury Hebronu”, i że to taka cienka książeczka, krótka i dosadna, a tak wiarygodna, że więźniowie z Łęborka przepisywali ją sobie i czytali w celach jak Biblię. Uff!

Na zakończenie mówię, że młoda literatura już dawno umarła, teraz wydawana jest literatura najmłodsza. **Są konkursy, na które warto wysłać swoje pisanie, bo teraz wydawcy bardzo chętnie wydają nastolatków. Kto ma poniżej dwudziestki i pisze jako tako, ma największe szanse na wydanie książki.** Większe nawet niż niektórzy zapomniani mistrzowie, co osiągnęli taką ostrość myśli, że (jak twierdzą wydawcy) ta myśl stała się dla innych niezrozumiała. Dlatego namawiam młodzików na pisanie i wysyłanie na konkursy. Ich pisanie z pewnością będzie zrozumiałe.

A później siedzę w domu i czekam na telefon. Za jakiś czas dzwoni. To oczywiście propozycja, bym wziął udział w takim

to a takim konkursie literackim jako członek jury. Prac jest bardzo dużo i dlatego będzie dużo pieniędzy, bo jury będzie miało płacone za każdy przeczytany egzemplarz. No i zgadzam się na bycie członkiem. I czytam, dniami, nocami, segreguję, rzadko się zachwycam, ale humor poprawia mi bijący licznik. Przeczytane słowa przemijają, bo dużo w nich waty, ale ja może sobie kupię nowe buty i żonie może nowe buty kupię, i dzieciakom też po parze butów kupię.

Dochodzi do obrad jury i jeśli jest to telewizyjny konkurs literacki, przystępujemy z całą ekipą filmową do nagrywania wręczenia nagród dla laureatów i gratulacji, i życzenia wydania książkowego, i sławy, i satysfakcji z tego, że zostaje się pisarzem, i że z czasem społeczeństwo zacznie szanować, a jak się poszczęści, to z czasem społeczeństwo zacznie się bać ostrej i demaskującej myśli pisarza, szczególnie, gdy pisarz osiągnie zdolność ośmieszania i demaskowania wad narodowych, i być może młody laureat dojrzeje na końcu swojej drogi do pisarza, który sam będzie ośmieszany i wyśmiewany, bo stanie się tak mądry, że aż niezrozumiały i to będzie ukoronowanie pisarskiego życia, uślanego różami, ale oczywiście tymi kolczastymi...

No, ale wręczamy te nagrody, ja i inni członkowie jury, i trochę jest dziwnie, bo program jest kręcony w olbrzymim magazynie, gdzie składowane są zwroty z kiosków ruchu i są wśród nich setki egzemplarzy „Gron gniewu” Johna Steinbecka i „Herzoga” Saula Bellowa, za które wyżej wymienieni pisarze jakiegoś tam Nobla otrzymali. I te olbrzymie paczki, skazane na papier toaletowy, zalegające tak wysoko pod sufitem, że ledwo widać. A ja wśród tych paczek klnę pod nosem: „Po cholere ja tak agituję tę młodzież. Przecież nie dość, że nie czytają, to zabierają się do pisania”. Ale już po chwili odpowiadam sobie: „Przecież w tej masie, którą przeczytałem, trafiło się kilka cennych słów, jakie tylko młodość może wyrodzić. Warto je było poznać”. I jasność spływa na moje czoło, bo sumienie mam czyste.

dodatek
literacki

Gazeta Nagrody Literackiej Gdynia
Bezpłatne wydanie okolicznościowe

Redaktor prowadzący: Cyprian MACIEJEWSKI

Zespół redakcyjny: Michał PIOTROWSKI, Ida PIERZYŃSKA,
Monika SKORYNKIEWICZ-KASPRZYK, Magdalena TRUS-URBAŃSKA,

Grafika i skład: Dorota SCHMIDT

Korekta: Edyta PYRGIEL

Wydawca: Urząd Miasta Gdyni,

81-382 Gdynia, Aleja Marszałka Piłsudskiego 52/54

Adres redakcji: 80-227 Gdańsk, ul. Do Studzienki 34 b

tel./fax: 058 341 32 81

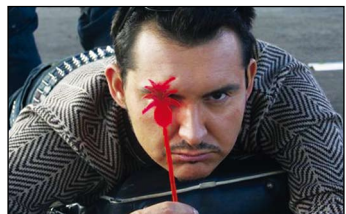
e-mail: dodatekliteracki@ambermedia.com.pl

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów bez zgody wydawcy
jest zabronione.

FELIETON

Książki łatwopalne

Jak zauważył Georg Steiner, żyjemy w świecie, w którym wszystkie produkty kultury obliczone są na największe wrażenie i natychmiastowe przebrzmienie. Gorzej: im głośniejsze fanfary, pośród których „produkt kultury” tryumfalnie wchodzi na rynek, tym bardziej nagła i głucha cisza, gdy po miesiącu okres promocyjny się kończy.



fot. K. Kobel

Michał WITKOWSKI

pisarz, laureat

Nagrody Literackiej Gdynia

Jeszcze gorzej: same produkty (powiedzmy sobie od razu, że chodzi o książki) mają dziś wcześniejszy w samą materię tekstu cały zespół cech mających zapewnić im murowaną atrakcyjność i tę wielką, krótkotrwałą głośność. Bo moja książka leży na ósmej od dołu półce, wciśnięta między Witkacego a Wiśniewskiego, na czwartym piętrze i konkuruje z milionami „produktów kultury”, do których w Empiku zaliczają się zarówno l-pody, jak i kolorowe książeczki dla dzieci czy TV magazyny. Empik jest jak rynek, jest rynkiem samym. Jest miejscem, w którym już samo nagro-

dla dzieci czy TV magazyny? Z Witkacym mały problem, ale dziesiąty odcinek serialu „07 – zgłoś się”?

Dlatego wydaje się, że książki wychodzące dzisiaj różnią się od dawnych swoją uwodzicielską, obliczoną na szybki i głośny (ale krótki) efekt, strukturą. Chwyliwne pierwsze zdanie (w razie, gdyby czytelnik zechciał przekartkować książkę przed zakupem), seks, przemoc, „drugi”, a nade wszystko tematy z tabloidów i tygodników opinii (bo przecież ich dziennikarze będą rzecz recenzowali!), tytuł, nota, kryminalna fabuła, polityczne aluzje do bieżących wypadków... **Wszystko to sprawia, że dzisiejsze powieści są naszpikowane łatwopalnym materiałem obliczonym na krótkotrwałą, choć bardzo efektowną wybuch.** Nic dziwnego, że książki stają się jak pawie czy motyle, choć wiodą żywot tylko tych ostatnich. Nasuwa się też metafora papieru, który spala się błyskotliwie, ale raczej nadaje się na podpałkę. Powieści ostatniej dekady

środek bieżących dyskusji światopoglądowych. Ba – uważane jest to za zaletę powieści! Przez dziennikarzy z tygodników i gazet, oczywiście. Bruno Schulz nie miałby w tej grze żadnych szans, Kaden Bandrowski – już o wiele większe. Nawiązuję tu do literatury Dwudziestolecia, bo właśnie wtedy wyraźnie widać było w naszej literaturze dwa nurty – „aktualny” i „niezależny”. Jedni niemalże wskazywali swoim piśmieniem rozwiązania politycznych czy społecznych problemów, inni poetyckim językiem wspominali dzieciństwo czy bawili się fantazmatami. I nikt ich nie pytał: „dlaczego w pana / pani prozie nie ma teczek, donosów, UB, lustracji, parady gejów i całej reszty medialnej papki”. Serio, takie pytania jeszcze nie dawno mi zadawano. Wydaje się, że zadający je nie widzą już rzeczywistości samej, a tylko dostrzegają w niej to, co wcześniej pokazano im w mediach. I tego też szukają w literaturze. Dzisiejsi pisarze oczywiście wychodzą im naprze-



madzenie „produktów kultury”, odbiera im wartość i powagę. Dlatego pisarze coraz częściej piszą tak, jakby przed otwarciem komputera zadali sobie pytanie: jakie będą szanse, że klient, posiadający do wydania sumę, powiedzmy, trzydziestu złotych, z tego całego śmietnika materii wybierze akurat ten mały przedmiot z ósmej półki od dołu, pomiędzy Witkacym a Wiśniewskim? Co trzeba zaszczyć tej książce, aby zechciała przebić nie tylko Witkacego i Wiśniewskiego, ale i l-pody, kolorowe książeczki

są naznaczone jakimś nerwowym oczekiwaniem wybuchu, daleko im do spokoju dawnych książek i ich autorów pewnych wieloletniej recepcji, pewnych przede wszystkim istnienia historii literatury. Dziś zachowujemy się tak, jakbyśmy w jakąkolwiek historię w ogóle już nie wierzyli. Wszystko chcemy zjeść zaraz, na miejscu, a krzywe sprzedaży strzelają w górę jak race, by zaraz po miesiącu spadać na łeb.

Przed wszystkim więc mogą niepokoić próby wstrzelenia się pisarzy swoimi książkami w sam

ciw, a wszystkich pobił Michał Zygmunt swoją debiutancką powieścią „New Romantic” reklamowaną jako „pierwsza polska powieść antykatyńska” i opowiadającą o historii zamachu na jednego z braci bliźniaków. Niestety, bardzo trudno uwierzyć, że taka literatura rodzi się z głębokiej metafizycznej potrzeby, a nie z wyczucia koniunktury i znajomości mediów. Na podpałkę może rzeczywiście potrzeba lekiego, gazetowego papieru, ale żaden ogień nie zapłonie dłużej bez solidnej kłody drewna.

DEBATA LITERACKA

Ucho od poezji

Poezja jest niszową twórczością literacką, dlatego spotkania poetyckie należą do kategorii tych koneserskich. Takie też było to z udziałem autorów nominowanych do „Gdyni”, którzy gościli w gdyńskim klubie „UCHO”.



fot. M. Kasprzyk

Marek K. E. BACZEWSKI

O dyskusjach na temat poezji

Wydając książkę, kładę na tym, co stworzyłem, swoją pieczęć. Z jednej strony mogę bronić, z drugiej przed tym uciekać. Ale myślę, że to co czynię, jest raczej formą ucieczki przed tym, co już zrobiłem. Po prostu jestem literackim tchórzem. Mam jednak na tyle odwagi cywilnej, żeby przeczytać wszystko to, co napisałem.



fot. M. Kasprzyk

Wojciech BONOWICZ

Anegdota o „Nagrodzie Pani Kościelskiej”

Nie jestem na liście laureatów, ale dostałem „Nagrodę Pani Kościelskiej”. Rok temu brałem udział w prezentowaniu fragmentów literackich na spotkaniu towarzyszącym wręczeniu Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Po przeczytaniu moich tekstów, Szanowna Pani Kościelska powiedziała do mnie: „Pana wiersze najbardziej mi się podobały”. A potem, jakby trochę się zmartwiła i dodała: „Ale ja się na tym nie znam.” Od tego czasu powtarzam, że jestem nieformalnym zdobywcą „Nagrody Pani Kościelskiej”, z czego jestem bardzo dumny.



fot. M. Kasprzyk

Edward PASEWICZ

„Henry Berryman Pięśni” – kulisy powstania

Kiedyś zabawiłem się w ucznia czarnoksiężnika. Inspirowany twórczością Berrymana – przyznaję – zrobiłem rzecz bardzo brzydką. Otóż, na jednym z portali, podpisując się Henry Berryman, codziennie publikowałem po dwa swoje teksty. Po tygodniu okazało się, że powstał fanklub. Ludzie aktywnie komentowali, analizowali, często bardzo ciekawie. Dzięki temu, w drugiej części pracy nad tomikiem, mogłem te wiersze poprawiać i szlifować. W taki oto, dość nietypowy sposób powstała ta książka.



fot. M. Kasprzyk

Tomasz RÓŻYCKI

O nominacjach do nagród literackich

Czasami wielkim honorem jest nie otrzymać nominacji do nagrody, ale za to być żalowanym przez wszystkich z tego tytułu, że zostało się pominiętym (śmiech – od red.). Niemniej, akurat mojej osobie jest bardzo miło, że bieżący rok jest dla mnie taki udany. To, co się wydarzyło, szczerze mówiąc, wykroczyło daleko poza moje oczekiwania. Tym bardziej się z tego cieszę.

Obszerne podsumowanie cyklu debat literackich – ostatnia z nich jeszcze przed nami: 22 listopada w warszawskim „Czułym Barbarzyńcy” – nastąpi w kolejnym wydaniu „Dodatku Literackiego”. Aktualne informacje można znaleźć na www.nagrodaliterackagdynia.pl

POEZJA

Nie o tobie, **ciebie** pisać

fot. J. Borowiec

1 „Nauczyłam się powtarzać, nie wiać tylko powtarzać, teraz wiem, całe życie powtarzałam”... „Moje słowa, moje słowa ze wszystkim. Nie wstydź się, mów jak leci, jak chce wyjść i nie cofa się za duże”... „Język, który spełniłby rolę rekwizytu (słowo podane zamiast ręki)”... „Spróbuj zbudować dom ze słów”... „Słowa chcą żyć, nie mówić”... „Od rana męczę się nad celnością słów”... „Każde słowo w razie potrzeby może być zdobyczą”... „Ostatni obraz – najpełniejszy – jest bez słów”... „Powiedz mi pięknie i bez reszty”... „Śpiesz się! Mów się! Zostaje ci ta chwila”...

2 Poezja Krystyny Miłobędzkiej nie pyta o istotę zła na świecie, ani nie jest szukaniem odpowiedzi o nasze miejsce w historii dziejów. Jest opowieścią o tym, co niewymawialne, a zarazem najważniejsze w naszych relacjach względem siebie i świata. Opowieścią o chwilach, w których słowo zastępuje gest wyciągniętych ku sobie rąk – gdy „próbujemy mówić się w milczeniu”. Zajmują ją sprawy codzienne, najmniejsze drobiny tego świata, „współlistnienia” i „współtrwania”. To poezja skupiona, cierpliwa, unikająca powtórzeń. Jeśli życie jest mijaniem dni, gestów, spojrzeń, to Miłobędzka nie zapisuje tego, co było, ale to, co jest, co właśnie się staje. Zatrzymuje świat w tej jednej, konkretnej chwili – „należę do dziś, do tego krótkiego dnia, do teraz, bez jutra i wczoraj”.

Krystyna Miłobędzka należy do pokolenia Grochowiaka, Harasymowicza, J. M. Rymkiewicza. Urodziła się 1932 roku

w Margoninie koło Chodzieży. Zadebiutowała w roku 1960 cyklem wierszy „Anaglify”, chociaż za właściwy debiut – niemal równoległy z Nową Falą – należałoby uznać rok 1970, kiedy to ukazał się jej pierwszy tom poetycki „Pokrewne”.

W roku 1975 opublikowała „Dom, pokarmy”, po nim „Wykaz treści” (1984). W 1992 roku ukazał się zbiór wierszy „Pamiętam – zapisy stanu wojennego” (nagroda im. Barbary Sadowskiej), a dwa lata później nakładem „bruLionu” wybór zapisów poetyckich „Przed wierszem” (Nagroda Fundacji Kultury). Książka ta, obok nowych wierszy, jak również wyboru tekstów z opublikowanych wcześniej tomów, zebrała po raz pierwszy rozproszone dotąd w literackiej prasie „Anaglify”. W roku 2000 ukazał się ważny dla odczytań tej twórczości tom „Imiesłowy”. Potem było genialne, medytacyjne „Po krzyku” (2004). Zbiór ten, nie licząc ostatnich, wydanych w ubiegłym roku wierszy zebranych („Zbierane 1960-2005”), doczekał się największej ilości omówień. Dla bibliograficznego dopełnienia należy wspomnieć jeszcze o zbiorze „wszystkowiersze” (2000) – w dużej mierze również do zobaczenia, oglądania. Jeżeli poezja zapisuje związki piszącego ze światem, to „wszystkowiersze”, jak podkreślała autorka, chciały zanotować związki piszącego i zapisanego z tym, co zapisane, związek treści z kształtem.

O swoim poetyckim spojrzeniu na świat Krystyna Miłobędzka mówi: „Moje pisanie bierze się z własnych ograniczonych możliwości i konieczności doprowadzenia do tego, żeby słowo było najbliższe temu, co właśnie czuję

i myślę. Mnie właściwie ciągle brakuje słów. Język jest dla mnie tworzywem, którym posługujemy się tak jak ołówkiem, farbą, plasteliną. Jest ruchomy, nie bierze się tylko z jakiegoś gotowego zapasu. Ja takiego gotowego zapasu wszystkich słów nie mam. Znajduję je w momencie zapisywania. Oczywiście, że z zapasu także korzystam, ale w dużej mierze po to, żeby coś postrześcić, porwać, przesunąć. **Myślę, że najlepiej by było, jakby każdy piszący mógł stworzyć własny język, w którym zapisałby to bardzo niewiele, co ma od siebie do powiedzenia. Tylko konieczne słowa.** Inaczej ciągle trafiamy na jakieś zbitki, które siedzą nam w głowie i niedokładnie pasują do tej chwili, do tego uczucia, do tego pomyślenia. I gdybym miała odpowiedzieć na pytanie, czy ja wierzę, że słowa potrafią powiedzieć to przeżute czy czute i pomyślane, to odpowiadam: nie wierzę”.

3 **Przez fakt późnego debiutu, swoją osobność i odrębność, nie wpisywanie się w żaden z poetyckich ruchów, będąc niejako poza literackim środowiskiem, twórczość Krystyny Miłobędzkiej wciąż pozostaje nieznana szerszym kręgom czytelników.** Również w mówieniu o tych zapisach więcej uwagi poświęca się na filologiczne analizy i terminologiczne klasyfikacje – awangarda, lingwizm – które niejako zawłaszczają czytelnicy entuzjazm.

Trudno oczywiście jednoznacznie zawyrokować, jaki powinien być „procentowy udział” tej poezji na czytelnym rynku. Jedno jednak nie ulega wątpliwości

– mamy do czynienia z jedną z najważniejszych poetek naszego czasu, a wejście w jej świat potrafi przewartościować wiele naszych hierarchii i czytelnicznych przyzwyczajęń.

„Jej twórczość od samego początku była zupełnie osobna i niezależna. To była wyraźnie poezja, w której słowo i struktury słowne, sposób mówienia, miało służyć czemu innemu, a nie tylko prostemu informowaniu – mówi o zapisach Miłobędzkiej krytyk literacki, Tadeusz Nyczek. – Literatura zazwyczaj odnosi się do tego co jest, co widać, słowa nazywają świat rzeczywisty, realny, a nawet jeśli odnoszą się do naszych przeżyć, emocji, starają się te emocje wyrazić. Pokazać, jak ludzie na siebie reagują, jak się kochają

czy nienawidzą. Tymczasem ten rodzaj poezji, jaki uprawia Krystyna Miłobędzka, jest szukaniem jeszcze innego świata. Okazuje się, że pod skórą naszych zachowań i codzienności, ale i relacji między sobą, są zupełnie nieodkryte pokłady ruchów serca i myśli. Świat nagle staje się jednością, w której wszystkie elementy, emocje i uczucia są jak w jednym kosmosie i próba odczytania mapy tego kosmosu, jego wewnętrznych powiązań, jest fascynującą wycieczką w nieznane. To, co zapisuje Miłobędzka, jest zapisem jakiś innych głosów, i może największe w tym odkrycie, że cały świat może być rodziną, niekoniecznie dzieląc się na gatunki i rodzaje, że wszystko ma swój język. Ona jakby wynalazła inny rodzaj kontaktu”.

Poezja Miłobędzkiej jest eksperymentem, zapisem doświadczenia siebie w języku. Nie nazywając niczego jednoznacznie i wprost, staje się zarazem bardzo esencjonalna. To poezja, której ramy wyznacza z jednej strony pogoń za słowem, z drugiej zaś, zgoda na milczenie.

4 **„Czy nie widzą głęboko, widzą daleko albo blisko, dlatego tyle brzegów”...** „opowiadam ci tylko jak jestem zrobiona od środka, co we mnie zostało / same drzwi / ten ruch od siebie / ręka na twojej głowie / więc jestem tu żeby być? żeby się podarować”... Ten prezent zmusza nas do nieustannej ucieczki od oczywistości.

Jarosław BOROWIEC
doktorant w Zakładzie Semiotyki Literatury UAM w Poznaniu, publikuje między innymi w „Tygodniku Powszechnym”.

Krystyna Miłobędzka

Co z tego błysnie w ostatniej

ogarnąć się, zgarnąć

ile tego nic

(nie chcę, nie jestem, nie czekam)

roz się (rozbiegam rozchodzę rozpląwam)

(rozstępuję się?)

ten bieg, bieg ciebie, nasz bieg

— — — — —

bieg rzeczy: domy auta suknie

(narcyze koty torebki torby sweterki)

— — — — —

jej wszystko naraz i na raz

porozdzielaj się!

WYWIAD

Nie warto brać się za rzeczy małe

Rozmowa z prezydentem Gdyni Wojciechem Szczurkiem

Michał PIOTROWSKI: – Gdynia staje się miastem dużych i prestiżowych imprez kulturalnych: festiwali filmowych, teatralnych, muzycznych. Poprzeczka musi iść w górę?

Wojciech SZCZUREK: – Toprawda, jeśli przywołać tutaj same tylko największe imprezy i festiwale, to śmiało można powiedzieć, że Gdynia żyje kulturą przez cały rok. I bardzo mnie cieszy, że wciąż przybywa wydarzeń, które tworzą tak różnorodną i bogatą ofertę. Bo osobiście jestem zdania, że nie warto organizować rzeczy małych, na „pół gwiazdka”. Jeśli już poświęcać na coś czas i środki, to lepiej stworzyć coś o wymiarze szerszym niż lokalny. I tak było z Nagrodą Literacką Gdynia – na początku była to idea konkursu literackiego, która zrodziła się w głowie pani dyrektor Elżbiety Gwiazdowskiej z Biblioteki Miejskiej. W trakcie doprecyzowania jej doszliśmy do wniosku, że warto stworzyć wydarzenie o charakterze ogólnopolskim i w ten sposób objąć mecenatem miasta najciekawsze zjawiska we współczesnej polskiej literaturze.

MP: Nagroda Literacka Gdynia pojawiła się w kalendarzu życia literackiego stosunkowo niedawno. Czy po pierwszej edycji i tuż przed ogłoszeniem wyników drugiej można powiedzieć, że impreza spełniła pokładane w niej nadzieje?

WS: Oczywiście mamy bogaty katalog oczekiwań odnośnie tej imprezy i z pewnością będzie on rósł z każdym kolejnym rokiem. Głównym celem, jaki sobie stawialiśmy, było uczestnictwo w ważnej debacie o współczesnej literaturze polskiej i przeniesienie tej debaty

na kilka dni właśnie do Gdyni. Niemniej ważne było dla nas stworzenie sytuacji, w której miasto pełni rolę mecenasa kultury, przyczynia się do rozwoju literatury. Podobnie dzieje się od dawna w wielu państwach europejskich, gdzie opieka miast nad twórcami literatury, czy ogólnie artystami, jest znacznie szersza. A takich nagród w Niemczech czy we Francji jest zdecydowanie więcej.

MP: Ale czy Nagroda Literacka Gdynia różni się od innych nagród literackich czymś szczególnym?

WS: Doniedawna w Polsce istniała jedna duża nagroda literacka – „Nike”, o dużym prestiżu i znaczeniu środowiskowym. Dopiero niedawno pojawiły się kolejne, w tym samym czasie wrocławską nagrodą „Angelus” i Nagrodą Literacką Gdynia. Nie ma między nimi konkurencji, natomiast wszystkie razem budują pewną tkankę, stanowią coraz ważniejszy element życia literackiego. Niewątpliwie jedną z najważniejszych cech Nagrody Literackiej Gdynia, obok wymiaru materialnego, są debaty członków kapituły i twórców nominowanych do nagrody. Są to niezwykle spotkania, niosące ogromny potencjał intelektualny. Dla widzów zaś możliwość obcowania z literaturą na takim poziomie stanowi prawdziwą uciechę duchową. Uczestniczyłem we wszystkich debatach pierwszej edycji nagrody i przyznam, że bardzo mnie one wzbogaciły i zainspirowały.

MP: W zeszłym roku brał Pan udział w towarzyszących nagrodzie debatach. Czy również w tym roku śledzi Pan wydarzenia związane z nagrodą? Czy ma Pan swoje typy wśród nominowanych książek?

WS: Jeszcze nie mam swoich faworytów, natomiast ufam w to, że kapituła nagrody, złożona z prawdziwych pasjonatów, dokona słusznego wyboru. Muszę powiedzieć, że w zeszłym roku brałem udział w jednym z posiedzeń kapituły i do dziś jestem pełen podziwu co do tego, w jak mądry i wartościowy sposób można prowadzić dyskusję, a nawet toczyć zacięty spór. Przyznam zresztą, że w poprzedniej edycji nagrody najbardziej żałowałem jednej rzeczy: mianowicie tego, że z nominowanymi książkami zapoznałem się dopiero po debatach, a przez to – mam wrażenie – straciłem możliwość pełnego uczestnictwa w toczącej się dyskusji.

MP: Gdynia jako miasto nowoczesne, ma wiele możliwości i kierunków rozwoju, a jednak bardzo duży nacisk kładzie właśnie na kulturę. Dlaczego?

WS: Chcemy pokazać wielowartość nowoczesnego miasta, które jest miejscem różnych aktywności – także tych związanych ze sztuką. Oczywiście sztuka nie jest jedynym sposobem kreacji wizerunku miasta, ale jest tej kreacji ważnym dopełnieniem. Przez wiele lat Gdynia kojarzyła się przede wszystkim z portem, była ikoną gospodarki morskiej. Teraz trochę modyfikujemy ten wizerunek – Gdynia to nowoczesność, to wysoka jakość życia, ale też odpowiedź na najróżniejsze aspiracje mieszkańców. Dlatego też rozwija się tu nie tylko kultura, ale również sport i inne dziedziny życia. Staramy się zakorzeniać w naszym mieście zupełnie nowe zjawiska. Jeszcze niedawno jazz był tu zupełnie nowym zjawiskiem. Dziś mamy kilkanaście imprez



foto: T. Kamiński

jazzowych, które sprawiły, że Gdynia postrzegana jest jako stolica polskiego jazzu. Głęboko wierzę, że wkrótce stanie się również miejscem istotnym dla literatury. Takie wielowartościowe podejście do rozwoju miasta przynosi pozytywne efekty. Z badań, przeprowadzonych w tym roku przez prof. Janusza Czapińskiego („Diagnoza Społeczna 2007”), wynika, iż na 19 największych miast w Polsce, właśnie Gdynia jest miejscem, w którym mieszkańcy czują się najbardziej szczęśliwi. To badanie potwierdza słusność prowadzonej przez nas polityki.

MP: Nie obawia się Pan konkurencji Sopotu i Gdańska o równie wysokie aspiracje kulturalnych?

WS: Gdynia jest miastem, które nie ma kompleksów i które wysoko stawia sobie poprzeczkę.

Dlatego, przygotowując każdy kolejny projekt, staram się, żeby był on jak najlepszy. Chcemy, żeby Gdynia była miastem tętniącym kulturą, bo widzimy, że dzięki temu mieszkańcom żyje się tu lepiej. Natomiast w stosunku do naszych sąsiadów trwa ciągły wyścig i mam wrażenie, że nie jesteśmy w tym wyścigu ostatni. Pomaga nam w tym na pewno odrobina niepokorności, fermentu twórczego, olbrzymia determinacja. To dzięki tym cechom rodzą się u nas najciekawsze pomysły. Czasem mam wrażenie, że Gdynia jest takim miastem, w którym mieszkańcy odżywają się sukcesami. Kiedy przez kilka tygodni nie dzieje się nic spektakularnego, wszyscy zaczynają się niepokoić. I to dobrze, to mobilizuje i popycha ludzi ku nowym pomysłom.

MP: Dziękuję za rozmowę.

OGŁOSZENIE

Konkurs

Prezydent Miasta Gdyni ogłasza I edycję ogólnopolskiego konkursu o GDYŃSKĄ NAGRODĘ DRAMATURGICZNĄ dla najlepszej sztuki przeznaczonej na scenę dramatyczną, napisanej po polsku przez żyjącego autora.

W konkursie mogą wziąć udział tylko te sztuki, które nie były wcześniej ogłaszane w całości drukiem ani wystawiane na scenie.

Zgłoszenia do konkursu dokonuje autor sztuki lub osoba przez niego upoważniona, przesyłając jej wydruk w trzech egzemplarzach wraz z wersją elektroniczną (zapisaną na płycie CD) do

5 stycznia 2008 roku, na adres: Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza, ul. Bema 26, 81-381 Gdynia, z dopiskiem: GDYŃSKA NAGRODA DRAMATURGICZNA

Wszystkie sztuki zgłoszone do konkursu powinny być opatrzone godłem, którego klucz znajduje się w zamkniętej kopercie. O przyjęciu zgłoszenia decyduje data stempla pocztowego.

Nagroda wynosi 50 tys. zł brutto. Finał konkursu odbędzie się w maju 2008 roku podczas III Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port. Regulamin konkursu znajduje się na stronie: www.teatrgombrowicza.art.pl.

Wszelkich informacji udziela sekretarz kapituły, Joanna Puzyra-Chojka, pod adresem e-mail: drama-gdynia@wp.pl.

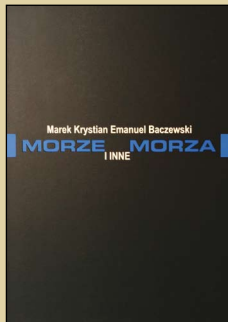
R@PORT TG
Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych



Teatr Miejski
im. Witolda Gombrowicza
w Gdyni
Dyrektor: Jacek Bunsch

nagroda
literacka
gdyni

Marek Krystian Emanuel BACZEWSKI, „Morze i inne morza”, Instytut Mikołowski

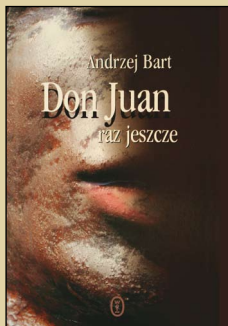


Książka Baczewskiego składa się z siedmiu części, z siedmiu poematów: Morze II, Ryba, Morze, Marina, Marina II, Hujstoria, Itaka i pewnie zasługuje na miano traktatu poetyckiego. O czym to traktat? Jakkolwiek zabrzmi to głupio, jest to traktat o wszystkim. O żywiole morza, o historii ludzkiego rodzaju i historii cywilizacji, o literaturze, o poprzednim wieku, o samym Baczewskim,

o języku, którym Baczewski potrafi obracać jak mało kto. (...) Epicki rozmach, erudycja, ironia, autoironia i liryzm, paradoksalność, umiejętność podejmowania intelektualnego i estetycznego ryzyka składają się na..., brakuje mi słowa, ale najbliższa będzie pewnie pieśń.

Bohdan ZADURA – cyt. za www.institutksiazki.pl

Andrzej BART, „Don Juan raz jeszcze”, Wydawnictwo Literackie



Jak zbierał pan materiały do książki?

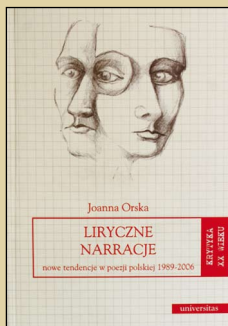
Andrzej BART: W przeciwieństwie do Dana Browna nie pomagały mi dziesiątki pomocników grzebiących po archiwach. Wiele poszukiwań i kwerend musiałem zrobić sam.

W pana książkach jest niepowtarzalny klimat – jak pan go tworzy, bo taką umiejętność posiadało niewielu?

AB: Klimat książki to styl, a styl pisarza to on sam. Styl jest jak oddychanie. A więc nie musiałem się dużo wysilać.

cyt. za www.czat.wp.pl (04.10.2006 r.)

Joanna ORSKA, „Liryczne narracje. Nowe tendencje w poezji polskiej 1989-2006”, Wydawnictwo Universitas



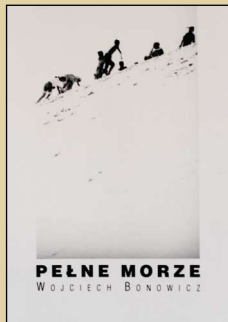
W tej książce spróbuję opowiedzieć (...) o wywodzącym się z lat 90. liryczno-narracyjnym projekcie; o tym, jakie efekty przynosi jego realizacja na trzech, najważniejszych dla liryki, płaszczyznach budowania metaforycznych znaczeń: języka, podmiotu i świata przedstawionego. Sądzę, że narracyjna liryka pozostaje główną formą ekspresji nietypowej – awangardy

lat 90. – od Świetlickiego do Podsiadły, przez Wiedemanna i Foksa, po Sosnowskiego i Piórę. Nie chodzi tu oczywiście o kompletne ujęcie wszystkich języków poezji lat 90. Pragnę po prostu zaprezentować własny wybór poetyckich propozycji, które, według mnie, rzeczywiście przyczyniły się jakoś do poszerzenia zasobu narzędzi ekspresji polskiej nowoczesnej poezji.

Joanna ORSKA – cyt. za www.universitas.com.pl

NAGRODA LITERACKA
LISTA KSIĄŻEK NOMINANTÓW

Wojciech BONOWICZ, „Pełne morze”, Biuro Literackie

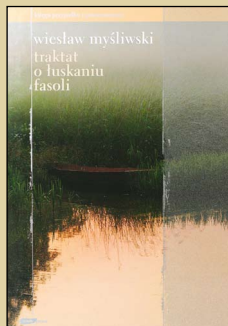


Bonowicz uprawia poezję religijną, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Widać to zarówno w biblijnej symbolice, jak i strukturze jego wierszy, będących nowoczesnym wariantem przypowieści – zaszyfrowanej, fragmentarycznej, pozbawionej morału. Bonowicz nawiązuje do głównego nurtu polskiej poezji powojennej, która parabolę ceniła bardzo wysoko. A że korzysta

przy okazji ze środków poetyckiej awangardy, czytając jego wiersze, balasujemy stale pomiędzy tym, co wspólne i znane, a tym, co jednostkowe i ciemne, między opowieścią a ciszą, stałym lądem a pełnym morzem.

Dariusz SOŚNICKI – cyt. za www.biuroliterackie.pl

Wiesław MYŚLIWSKI, „Traktat o łuskaniu fasoli”, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK

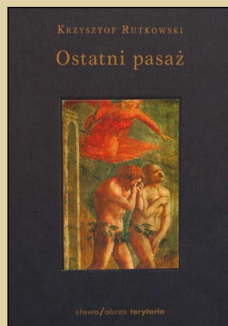


To łuskanie fasoli dręczyło mnie chyba ze 30 lat. Jak pan wie, to był taki rodzaj sąsiedzkich posiadów, kiedy równocześnie z łuskaniem fasoli prowadziło się rozmowy na wszystkie możliwe tematy. Te rozmowy dotyczyły i zdarzeń bieżących, i dawnych, snów, duchów, tego i tamtego świata, Boga, pojedynczych i zbiorowych doświadczeń, mędrkowało się, filozofowało, słowem

nie było granic, słowa prowadziły ludzi w przeróżnych kierunkach. (...) Czasem sobie myślę, czy nie dlatego sadzono tyle fasoli, bo o ile pamiętam, tak dużo się jej nie jadło. I kiedy przypominałem sobie ten zwyczaj z dzieciństwa, zacząłem się zastanawiać, jak przełożyć ową mowną strukturę zwyczajną na strukturę pisaną książki.

Wiesław MYŚLIWSKI w wywiadzie dla „Polityki”, nr 17/18, 2006 r.

Krzysztof RUTKOWSKI, „Ostatni pasaż. Przepowiedź o byciu byle-jakim”, Słowo/Obraz Terytoria

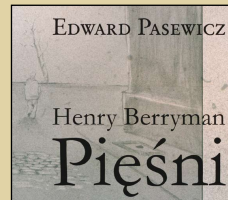


Krzysztof RUTKOWSKI: Bylejakość jest najważniejszą cechą współczesnego życia w społeczeństwach demokratycznych. Dawniej, żeby być kimś, trzeba było coś umieć, chociażby po to, żeby zdobyć pieniądze. Warunkiem zajęcia korzystnego miejsca w dzisiejszym społeczeństwie jest bycie byle jakim. Im mniej umiesz, im masz mniej skrupułów, a najlepiej źle

mówisz po polsku, tym masz większe szanse. Dlatego o bylejakości rozmawiać trzeba.

cyt. za www.czat.wp.pl (13.03.2007 r.)

Edward PASEWICZ, „Henry Berryman Pięśni”, Kserokopia

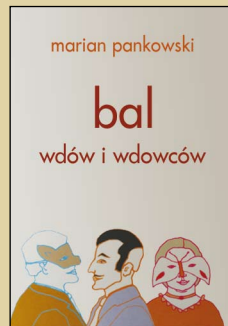


Z poezją Pasewicza jest tak, jak z marcepanem. Można go uwielbiać albo nie znosić. Niemniej jednak pozostaje on wykwinnym przysmakiem. Zarówno okrzyki zachwytu, jak i te, które urywane są wykrzyknikami oburzeń, stanowią komple-

menty, ponieważ świadczą o głównym atucie tej poezji – trudno ją przemilczeć.

Ewa KOŁODZIEJ - cyt. za www.kserokopia.art.pl

Marian PANKOWSKI, „Bal wdów i wdowców”, Korporacja Ha!art



Powieść reklamowana jest jako „powieść o stanie wdowim”. Brzmi to tajemniczo i intrygująco, aż chce się natychmiast sięgnąć po tę pozycję! Sięgam więc i czytam. A z każdą stroną mój zachwyt ogromnieje. Lek-tura idzie wyjątkowo szybko, sprawnie i bezboleśnie. Pochłonięty dywagacjami i refleksjami podstarzałego emigranta, nie zauważam nawet, kiedy zbliżam

się ku końcowi. Aż żal, że to tylko sto czterdzieści dwie strony. Ale za to jak napisane. Pankowski to zupełnie inna jakość i odrębne zjawisko w polskiej literaturze.

Grzegorz STĘPNIAK – cyt. za www.independent.pl

Krzysztof ŚRODA, „Projekt handlu kabardyńskimi końmi”, Świat Literacki



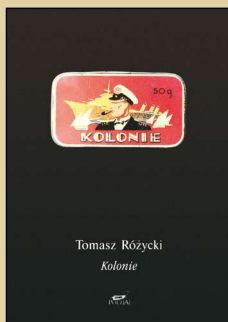
„Projekt” należy do lektur, które pozostają w nas przez parę dni, nie zostawiając spokoju, choć nie umiemy określić dokładnie dlaczego - utkwiła w głowie i już. Podobnie jak poprzednia, również ciekawa, choć nie tak czysta w tonie „Niejasna sytuacja na kontynencie”, jest ona rodzajem szczególnego, niechronologicznego dziennika podróży. (...) Tę książkę, wyobrażam sobie,

mogliby pisać Tomek Sawyer z Huckleberry Finnem, tyle że już po fakultecie, zapewne filozoficznym. Jest w niej coś wiecznie chłopięcego, autentycznie otwartego na świat – radosne marzenia o wielkiej podróży i niezwykłych, nierealnych czynach.

Marek BIENIŃCZYK – cyt. za „Dziennikiem” (03.04.2007 r.)

RACKA GDYNIA INOWANYCH 2007

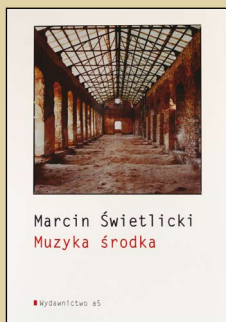
Tomasz RÓŻYCKI, „Kolonie”,
Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK



Książka ta jest twórczym rozwinięciem poetyki, której dopracował się Różycy w swoich poprzednich tomikach. Znak rozpoznawczy tej poezji stanowi finezja, z jaką autor łączy sensualną wyobraźnię z ostrym reżimem formalnym poszczególnych wierszy. „Kolonie” to rozpisany w odcinkach poemat, eksplorujący zapoznane rejony poetyckiego doświadczenia, które określa tradycja Rimbauda i Miłosza. Co jednak najważniejsze – wiersz Różycy w żadnym razie nie jest bezpośrednio zapośredniczony w poszczególnych wersach wielkich mistrzów liryki.

Krzysztof SIWCZYK – cyt. za www.polskieradio.pl

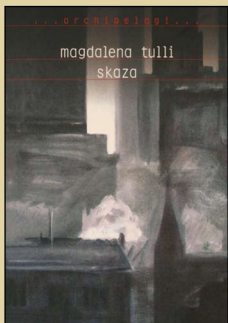
Marcin ŚWIETLIICKI, „Muzyka środka”,
Wydawnictwo a5



Dużym uproszczeniem byłoby powiedzieć, że jest to książka o jednym bohaterze. Jeszcze większym uproszczeniem by było, jakby się powiedziało, że to jest książka o Świetlickim. To nie jest książka o jednym bohaterze, a o wielu. Jeden żyje, drugi nie żyje, jeden umrze, inny jest nieśmiertelny. Chyba tak o tym myślę. Strasznie proste byłoby stwierdzenie, że to jeden bohater, który jest trupem albo nie jest trupem.

Marcin ŚWIETLIICKI w wywiadzie dla „Dziennika” (15.12.2006 r.)

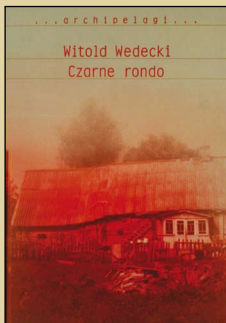
Magdalena TULLI, „Skaza”,
Wydawnictwo W.A.B.



Najnowsza książka Tulli, „Skaza”, po raz kolejny przywołuje topos miasta, które zrównane zostaje ze światem w ogóle, a jego mieszkańcy – z ludzkością. Tym samym autorka „Snów i kamieni” nie opowiada nam żadnej historii, jej celem jest bowiem mówienie o kondycji współczesnego człowieka. „Skaza” urasta w tym kontekście do dialogu z taką koncepcją człowieczeństwa, która zakłada jakkolwiek możliwość ukształtowania osoby. Tulli zdaje się nam mówić, że nic nie jest pewne, że zawsze może nas spotkać egzystencjalna niespodzianka, w której to, co niemożliwe, stanie się rzeczywiste.

Bernadetta DARSKA – cyt. za www.dekadaleracka.pl

Witold WEDECKI, „Czarne rondo”,
Wydawnictwo W.A.B.



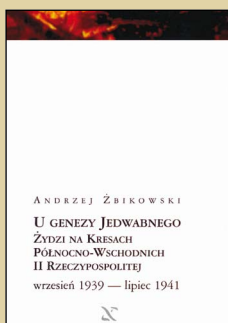
Autor buduje świat pozornie nam bliski, ale w istocie już egzotyczny, zapomniany przez Boga i ludzi, pełen grozy lat wojny i jeszcze prastarych mitów i baśni. (1)

Przejmujące artystyczną szczerością i rzetelnością świadectwo, którego nie zawahałbym się porównać z prozą Leopolda Buczkowskiego. (2)

(1) Janusz DUNIN – cyt. za www.wab.com.pl

(2) Wacław SADKOWSKI – cyt. za www.wab.com.pl

Andrzej ŻBIKOWSKI, „U genezy Jedwabnego. Żydzi na Kresach Północno-Wschodnich II Rzeczypospolitej – wrzesień 1939 - lipiec 1941”, Żydowski Instytut Historyczny



Publikacja podważa stereotyp masowej kolaboracji Żydów z reżimem komunistycznym. Andrzej Żbikowski poddaje go krytyce przez pokazanie życia społecznego pod okupacją sowiecką w możliwie wielu wymiarach. Przedstawia mechanizm społecznej zmiany, ujawniając się w różnych strategiach przetrwania bądź dostosowania się do okupacyjnych warunków.

cyt. za www.polskieradio.pl



FORUM DYSKUSJI O POLSKIEJ LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ

Nagroda Literacka Gdynia została powołana do życia w 2006 roku przez Prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka, by stanowić silny i trwały bodziec do wzmożonej aktywności w obrębie polskiej literatury. I to zarówno wśród pisarzy, wydawców, jak i czytelników.

Jednym z jej podstawowych celów jest też uhonorowanie wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Nagroda jest przyznawana rokrocznie zwycięzcom w trzech kategoriach – proza, poezja i esejistyka, którzy otrzymując pamiątkowe statuetki (Kostki Literackie) oraz nagrodę w wysokości 50 tysięcy złotych.

Wybór zarówno nominowanych, jak i laureatów, to decyzje członków Kapituły, pod przewodnictwem prof. Piotra Śliwińskiego, złożonej z wybitnych znawców i badaczy literatury.

Patron honorowy



Patroni medialni



WYWIAD

Wolna i suwerenna „Gdynia”

Nie chcemy tworzyć nagrody w opozycji do „Nike”. To byłby ślepy zaulek.

– przekonuje członek Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia Jerzy Jarniewicz.

Cyprian MACIEJEWSKI: Panie Czytelniku: forma czy treść? Co jest ważniejsze?

Jerzy JARNIEWICZ: Dla mnie jako czytelnika, ale także pisarza, literatura jest warta zachodu o tyle, o ile te dwie rzeczy istnieją w sposób nierozdzielny. I nie jest to wcale żaden slogan. Nie ma czegoś takiego jak niezależna od formy treść, którą moglibyśmy dowolnie wkładać do jednego czy drugiego naczynia, czy to będzie oda, sestina czy sonet. To, w jaki sposób wiersz jest zbudowany, kształtuje jego treść. Bo pamiętajmy, że język nie jest bezwolnym, posłusznym autorowi narzędziem, on jest poniekąd współautorem, który tę treść wytwarza. Dobra literatura to ta, której forma nie jest przypadkowa, dlatego najmniej zmiana na przykład w słownictwie czy w szyku zdania

rackiego ze sobą współlistnieją i doskonale się wspierają. Nie ma dobrej powieści, nawet jeśli dotyczy słusznych spraw, jeśli jest niechlujnie napisana. Nie ma dobrego wiersza, jeżeli jest on bełkotliwy, nawet gdyby trzymał się rytmu i zachowywał rymy. Ale chciałbym zaznaczyć, że to przekonanie o nierozłączności formy i treści towarzyszy mi także przy ocenie literatury bardziej niż poezja zorientowanej na przekaz treści – myślę tu o eseistyce, naszej trzeciej kategorii.

CM: Rozmawiamy tak naprawdę o kryteriach oceny i właściwie to zmierzam do pytania z nimi ściśle związanego. Czy celem Kapituły „Gdyni” jest lub będzie uzyskanie statusu swoistej opozycji do „Nike”? Teoretycznie może się to przekładać na preferencję treści.

cel: wyluskać najlepsze naszym zdaniem książki w każdej z trzech kategorii. Nie chodzi przecież o to, żeby rywalizować z innymi nagrodami. Gdyby się zdarzyło, że pewne nasze wybory pokrywają się z wyborami „Nike” czy „Angelusa” – cóż, nie byłoby chyba w tym nic dziwnego. Proszę zwrócić uwagę, że nasze nominacje, tegoroczne i ubiegłoroczne, sporo się różniły od listy ułożonej przez jurorów „Nike”. **Wiele książek nominowanych do „Nike” leży zupełnie poza kręgiem naszych czytelnich zainteresowań, bo mamy często inne wyobrażenie tego, co w literaturze współczesnej jest najciekawsze.** Pokazujemy często zjawiska wartościowe, które bywają przeoczone, niedocenione, niezrozumiane, albo są – niejako już z definicji – niszowe, nie przyciągają uwagi mediów, nigdy nie znajdują się na

tego, że taka kategoria istnieje, mijaloby się z celem. Proszę zwrócić uwagę, że mamy prawo nominować po pięć tytułów w każdej z trzech kategorii, ale często tej puli nie wykorzystujemy. Może się zdarzyć tak, że któraś z kategorii w ogóle nie będzie miała laureata, bo po prostu nie ukażą się w danym roku dość ciekawe książki. Mówiłem już, że „Gdynia” jest nagrodą suwerenną, wolną także od przymusu wręczania trzech wyróżnień. Co do tego panuje wśród członków Kapituły pełna zgoda: jeżeli żaden tytuł wydany w ocenianym roku nas nie przekonuje, nie będziemy udawać, że to, co zaledwie przeciętne, warte jest najwyższej nagrody.

CM: Choć zgłoszeń do konkursu Kapituła otrzymuje wiele, to paleta mogłaby być jeszcze

jest za najlepszą książkę roku w danej kategorii. Poza tym dramat jest gatunkiem mocno związanym z teatrem. Aby przyznać w tej kategorii nagrodę w sposób rzetelny i sensowny, musiałoby powstać grono specjalistów złożone z ludzi teatru, mających dostęp do nowej, niepublikowanej dramaturgii.

CM: Skoro padły słowa „obiet wydawniczy”, to czy dostrzega Pan jakiegokolwiek zmiany w związku z Nagrodą Literacką Gdynia. Mówię tu o jej odbiorze w tym świecie czy też o kwestii dokonywania wyborów przez Kapitułę...

JJ: Mam wrażenie, że jej prestiż rośnie, że nagroda pięknie wstrzeliła się w życie literackie. Jest dostrzegana i ceniona. Jeszcze za wcześniej, żeby po



przekłada się na zmianę sensu. Tym przecież literatura różni się od, powiedzmy, dziennikarstwa czy prac naukowych.

CM: A jeśli ponownie Pana spytam o to samo, ale już jako członka Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia, to czy przy wszelkich niekończących się dyskusjach światopoglądowych towarzyszących literaturze, formę i treść postawi Pan także na równi?

JJ: Zdecydowanie tak, bo nie można w oderwaniu od formy oceniać tomu wierszy czy powieści, zwracając uwagę tylko na to, czego one dotyczą, jakie podejmują problemy. Liczy się całościowe doświadczenie lektury, w którym obie strony dzieła lite-

Pojawiały się takie oczekiwania, wspominał o tym bodajże Wojciech Wencel.

JJ: Mówię tylko w swoim imieniu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby moi koledzy jednogłośnie mnie w tym poparli. Przy podejmowaniu przez nas decyzji dotyczących nominacji i laureatów, „Nike” w ogóle nas nie interesuje. Zawieszamy całą wiedzę na temat wyborów i kryteriów tamtego szacownego gremium. Nie kierujemy się ich wyborami, ale też nie chcemy tworzyć nagrody, która byłaby w opozycji do „Nike”. Bo wtedy byłaby w pewien sposób przez „Nike” kształtowana. Nie może się stać jej przeciwieństwem – to byłby ślepy zaulek. „Gdynia” jest nagrodą do cna suwerenną. Przyswieca nam wyłącznie jeden

listach bestsellerów, ale sugerując możliwość innego rozumienia pisarstwa, że wspomnę tylko o zesłorocznych nominacjach dla książki Darka Foksa i Zbigniewa Libery „Co robi łączniczka”, czy dla tomu wierszy Andrzeja Sosnowskiego „Gdzie koniec tęczy nie dotyka ziemi”... Sądzę, że to jest siła tej nagrody.

CM: Na łamach niniejszego „Dodatku Literackiego” wypowiada się także Paweł Huelle, który popiera ustanawianie kolejnych polskich nagród literackich, ale przy chuchach latach wieszczę wielkie problemy z werdyktami.

JJ: Zgadza się. Jeżeli trafimy na rok gorszy w danej kategorii, to przyznawanie nagrody tylko dla-

szersza, gdyby dramat został czwartą kategorią „Gdyni”. Ostatecznie powstaje osobna nagroda. Nie żal Panu trochę?

JJ: Skądże, przeciwnie! To jest bardzo trafna decyzja prezydenta Wojciecha Szczurka i to z kilku względów. Gdyby Kapituła miała wypowiadać się o dramacie, to chyba niebezpiecznie przekroczyłaby próg swoich kompetencji. Chciałbym zwrócić uwagę, że współczesny dramat niemal wcale nie ukazuje się w formie książkowej, nie ma go w obiegu wydawniczym, a jeśli już, to w rzadkich antologiach, ba, często nawet nie znajdziemy go w pismach branżowych. Istnieje w maszynopisach i na scenach teatralnych. Tymczasem Nagroda „Gdynia” przyznawana

pierwszej edycji podsumowywać i wskazywać jakiegokolwiek tendencje rozwojowe. Wyniki drugiego konkursu dopiero przed nami – 29 listopada. Rok temu spieraliśmy się w Kapitułe tak samo długo i gorąco, jak robimy to teraz. Temperaturę tych dyskusji zapewniają bardzo zróżnicowane osobowości, tworzące nasze jury. Wyłonienie nominowanych czy laureatów jest wynikiem – szczerze – bardzo mozolnej pracy i wielogodzinnych dyskusji. Mam nadzieję, że nasza Kapituła nie wpadnie w rutynę, że nadal, mimo różnic, będzie potrafiła się dogadywać i się nie pokłóci (śmiech – od red.), że laureaci przez nas wyłonieni sprawią nam wszystkim wielką czytelnicką satysfakcję. Jestem przekonany, że tak będzie.

DRAMAT

Raportowanie rzeczywistości

W 2004 roku Roman Pawłowski, autor dwóch antologii gromadzących najnowsze utwory przeznaczone na scenę („Pokolenie Porno” i „Made in Poland”), obwieścił odrodzenie się współczesnej polskiej dramaturgii. Symptodem tego rozkwitu ma być przede wszystkim rosnąca wciąż liczba nowych tekstów, które trafiają co roku do ogólnopolskiego obiegu w formie spektakli, pokazów warsztatowych, czytań czy publikacji książkowych. W istocie pisanie dramatów jest dziś bez mała – jak pisała ironicznie Marta Cabianka – narodowym hobby, po które sięgają osoby o różnych zawodach, na ogół nie mające wiele wspólnego z literaturą czy sztuką.

Sprzyja temu z pewnością koniunktura na teatr zaangażowany, zorientowany na prowadzenie społecznego dialogu. Dyrektorzy wielu scen, których jeszcze kilka lat temu trudno było namówić do przeczytania nowej polskiej sztuki, teraz konkurują ze sobą o prawo do premierowych inscenizacji, zamawiają teksty u autorów, organizują rozmaite projekty laboratoryjne, konkursy, festiwale. Na ostatnią, trzynastą już edycję Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, organizowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wpłynęła rekordowa liczba stu czterech tysięcy zgłoszeń (podczas gdy trzy lata temu było ich „zaledwie” siedemdziesiąt). Wszystkie te przejawy zainteresowania współczesną dramaturgią prowokują pytanie, czy rozmnożeniu się nowych tekstów towarzyszy jakaś rozpoznawalna jakość – myślowa i formalna – która pozwoliłaby wyodrębnić nie tylko nowe nurty estetyczne, ale i generacje twór-

ców, połączonych choćby podobną wrażliwością na rzeczywistość.

To pytanie wydaje się o tyle ważne, że w refleksji nad stanem polskiej dramaturgii sygnalizowany jest co rusz swoisty paradoks – ogromnemu popytowi na nowe głosy w literaturze, tworzonej z myślą o scenie, towarzyszy niejasne poczucie obniżenia jej lotów czy nawet kryzysu. „Lektura świeżo wydanych antologii

jest bowiem tożsame z jej diagnozowaniem. Do tego niezbędna jest umiejętność przekroczenia jednostkowego doświadczenia i odkrycia mechanizmów rządzących życiem zbiorowym. Nie w przeciągu życia jednego pokolenia, ale w perspektywie znacznie dłuższej. Bez zakorzenienia w historii teatr nie ma szans stać się rewelatorem prawdy o społeczeństwie czasu przełomu.



archiwum Teatru Modrzejewskiej w Legnicy

– przekonywała wspomniana już Cabianka – pozostawia wrażenie, że z dramatem pożegnaliśmy się mniej więcej przed dekadą, a obecnie mamy do czynienia co najwyżej z tekstami dla teatru”. To rozróżnienie na dramaty i teksty dla teatru obnaża przede wszystkim literacką miłość tych drugich, co skazuje je na ogół na krótki żywot sceniczny (ograniczony często do jednokrotnej prezentacji). Siłę artystycznej wizji zastępuje z konieczności aktualność tematyki czerpanej wprost z życia (na ogół za pośrednictwem mediów). „Gorącość” młodej dramaturgii, poparta coraz częściej wrażliwością społeczną i wyrazistym światopoglądem twórców, bywa sprzymierzeńcem teatru, który karmi się chwilą. Gorzej służy jednak samej literaturze, skazując ją po pewnym czasie nieuchronnie na zapomnienie. Opisywanie rzeczywistości, choćby w „słusznej sprawie”, nie

Wagę sporu o jakość refleksji nad światem zapisanej w młodym dramacie podnosi tocząca się w Polsce od kilku lat dyskusja na temat nowych zadań postawionych przed teatrem, który usiłuje na powrót stać się „agorą” – miejscem ścierania się różnorodnych głosów, poglądów, wizji. Jak pisał w swoim manifestie niemiecki reżyser Thomas Ostermeier, obserwowana na przełomie tysiącleci „eksplozja wielorakich rzeczywistości”, połączona z zapaścią wielkich ideologii, powinna odnaleźć swoje odzwierciedlenie w odmiennych projektach świata proponowanych przez autorów. Czy młoda dramaturgia polska odbija tę różnorodność? Na ile współbrzmi ona z głosami dochodzącymi z widowni, która konfrontuje proponowany jej obraz świata z własnym doświadczeniem? Ważkość tych pytań skłoniła dyrektora Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni,

Jacka Bunscha, do powołania dwa lata temu – przy ogromnym poparciu władz miasta – Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port. Prezentując co roku kilkanaście inscenizacji najnowszych sztuk rodzimych autorów, chcemy składać nie tylko „raport” ze stanu polskiej dramaturgii przez wskazywanie w jej obrębie ważkich tematów i nurtów (czasem też mód!), ale – za jej pośrednictwem – „raportować” również polską rzeczywistość we wszelkich jej przejawach, nawet tych mrocznych i wstydlivych. Przygotowując kolejne edycje gdyńskiego festiwalu, staramy się uważnie wsłuchiwać w głosy płynące zarówno ze sceny, jak i z widowni. Ich repertuar podyktowany jest wyborem głosu, który wydaje się nam w danym sezonie dominujący, najbardziej donośny. Zestaw spektakli pokazywanych podczas pierwszej edycji festiwalu w 2006 roku – w większości zrodzonych z pasji dokumentowania „tu i teraz”, podszytych buntem wobec zakłamania społecznego dyskursu – miał odpowiedzieć na pytanie, czy najnowsza dramaturgia istotnie może kształtować zbiorową świadomość i wpływać pozytywnie na zmianę naszych postaw.

Odpowiedź nie zawsze była dla młodego teatru korzystna – „forma dramatyczna” proponowana przez autorów dla współczesnej Polski okazała się dość uboga intelektualnie i artystycznie, potwierdzając po części opinie sceptycznie nastawionych krytyków o niegotowości nowej dramaturgii do głębokiego penetrowania rzeczywistości i stawiania odważnych diagnoz. Na tym tle błyszczała gwiazda Przemysława Wojcieszka, który zdobył główną nagrodę festiwalu za spektakl „Made in Poland” przygotowany wraz z zespołem Teatru Modrzejewskiej w Legnicy.

Mimo spektakularnego sukcesu, jaki pierwsza edycja R@Portu odniosła wśród trójmiejskiej publiczności, czuliśmy, że dialog podjęty przez teatr ze swoim czasem, powinien wykraczać poza sferę patologii społecznych; jego istotnym elementem powinny być również pytania bardziej „osobiste”: o granicę człowieczeństwa naznaczonego przez zło, cierpienie, szaleństwo; o jakość sacrum w dzisiejszym „świecie bez Boga”; o toksyczne relacje międzyludzkie zagrażające tożsamości; o „upiorne” dziedzictwo objawiające się w narodowych kompleksach, fobiach i fantazmatach zawłaszczających zbiorową wyobraźnię. Dlatego przygotowując drugą edycję festiwalu, chcieliśmy zapytać za pośrednictwem dramaturgów o „duszę” współczesnego Polaka – jego pamięć, marzenia, lęki i nadzieje. Wyczuwając znużenie widowni publicystyczną dosłownością spektakli manifestujących swoje „zaangażowanie”, próbowaliśmy wskazać dla nich alternatywę. Zwróciliśmy się instynktownie ku teatrowi wychylonemu w stronę poezji, który, zamiast kopiować rzeczywistość, szuka dla niej metaforę zamkniętą w scenicznym obrazie. Punktem odniesienia dla poszukiwań młodych autorów stała się twórczość prawodawcy „teatru wewnętrznego”, Tadeusza Różewicza, któremu poświęciliśmy szereg zdarzeń festiwalowych (w tym sesję naukową). Tryumf „Boga Niżyńskiego” Piotra Tomaszuka z supraskiego Teatru Wierszalin czy „Osobistego Jezusa” Przemysława Wojcieszka z Teatru Modrzejewskiej w Legnicy dowiódł, że w polskim teatrze, zmęczonym nieco „fotografowaniem” świata, ten nurt stał się znowu niezwykle istotny.

Joanna PUZYNA-CHOJKA
kierownik literacki festiwalu R@Port



Jacek GŁOMB
dyrektor Teatru Modrzejewskiej w Legnicy

Teatr nie zanurzony w świecie, w którym działa, nie ma sensu. Teatr musi być w przymierzu ze światem, w którym istnieje, musi mu towarzyszyć, opisywać go i zmagać się z nim. Można o współczesności mówić Szekspirem (tak też czynimy w Legnicy), ale po tysiącokro-

wolę mówić o niej tekstami napisanymi dzisiaj, najlepiej na zamówienie naszego Teatru. **Bo najpierw jest świat, o którym opowiadamy dramaturgowi (albo on nam opowiada), a potem ten świat „piszemy”.**

Szczególnie ważne jest, aby takie pisanie uprawiać w Legnicy, mieście boleśnie dotkniętym przez historię. Legnica to miejsce „pęknięte” i z tego pęknięcia nasz Teatr buduje opowieść. To prawie zawsze niemieckie miasto opanowała w 1945 roku Armia Czerwona, która z Legnicy uczyniła swoją twierdzę. Siedziba pruskich grenadierów została siedzibą sztabu generalnego armii ZSRR na Europę Wschodnią. W wyniku porozumień jałtańskich Legnica

przypadła Polakom i oni – zawsze w symbiozie, ale i w sporze z Rosjanami – zaczęli budować jej tożsamość, często niszcząc niemiecką historię. Tożsamość niełatwą, zawsze popękaną. Bo wzbogaconą o Ukraińców i Łemków, których przynęcała tu Akcja „Wisła”, Greków, Macedończyków, Żydów – repatriantów... Ten świat opisujemy, tworząc jego mitologię, legendę, bo Teatr jest od opowieści i legend, a nie od „najprawdziwszej prawdy”.

W tym pisaniu pomagają nam festiwale zorientowane na współczesność. Takie jak R@Port w Gdyni, który powstał właśnie po to, aby takie myślenie upowszechniać. Nigdy mało takich miejsc.



Tadeusz NYCZEK
krytyk teatralny, juror II edycji festiwalu R@Port

Gdybyśmy mieli poprzestać na wiedzy medialnej o świecie, zawartość naszych umysłów przypominałaby gigantyczny śmietnik, w którym przeważałyby stereotypy, banały i frazesy. Literatura jest po to, by w ten chaotyczny bałagan wprowadzić nie tyle ład, co ton bardzo osobisty, autorski, referujący

prywatne dramaty, „nieczyste” refleksje, wahania i wątpliwości towarzyszące sztuce. Dlatego zawsze warto słuchać twórców, tych zwłaszcza, którzy wyraźnie mówią o naszym poplątanym życiu. **Polski dramat ostatnich lat taki w dużej mierze jest: agresywny, współczesny, drapieżny.** Często pośpieszny i nie najwyższych lotów, ale taka bywa cena podążania za zmiennym pejzażem rzeczywistości. Festiwale, takie jak R@Port, dają widzom szansę konfrontacji – w jednym miejscu – różnych punktów widzenia, co już jest wartością samą w sobie. Jedni wyjdą pokrzepieni, że ktoś myśli podobnie, inni zaskoczeni, że można całkiem inaczej. A zawsze warto bić się nie tylko o własnymi myślami.

ROZMOWA

Literatura hitów i kitów

Z Pawłem Huelle rozmawia Michał Piotrowski



foto: E. Lempp

Michał PIOTROWSKI: – Panie Pawle, spotykamy się w sąsiedztwie dużej uniwersyteckiej księgarni. No i właśnie – czy nie wydaje się Panu, że choć na księgarskich półkach leżą tysiące książek, to – paradoksalnie – trudno na nich znaleźć coś wartościowego do czytania? Proszę powiedzieć szczerze – czy w ciągu ostatniego roku znalazł Pan choć jedną nową książkę, którą dołączył Pan do swojego prywatnego kanonu lektur?

Paweł HUELLE: – W ciągu ostatniego roku niestety nie. Było kilka ciekawych rzeczy, ale żadnej wybitnej. To prawda, interesujących książek – jeśli chodzi o literaturę piękną – jest zdecydowanie niewiele. Parokrotnie uczestniczyłem w targach książki we Frankfurcie i pamiętam, że w latach pięćdziesiątych statystyki tam podawane mówiły o 650 tysiącach powieści i zbiorów opowiadań, wydanych na świecie w ciągu jednego tylko roku. Domyśla się Pan, że statystycznie rzecz biorąc, nie mamy do czynienia z 650 tysiącami arcydzieł, czy książek dobrych. Można na to utyskiwać, ale trzeba z tym żyć. Kłopot zaczyna się wtedy, kiedy chcielibyśmy z tej masy wyselekcjonować, wybrać pozycje wartościowe. Tak więc, jeżeli już utyskiwać przy tej okazji,

to raczej na krytykę literacką, bo, niestety, pewna epoka krytyki literackiej się już skończyła i mamy do czynienia raczej z krótkimi pigułkami informacyjnymi, z procedurą uproszczoną do dwóch możliwości – Hit albo Kit, co zostało wymuszone przez wszechobecną kulturę masową. Z drugiej strony przypomina mi się Umberto Eco, który na pewnej konferencji prasowej zadał dziennikarzom pytanie, ile osób globalnie czyta książki. Jego zdaniem jest to cztery procent całej populacji. Cztery procent! Nie wiem oczywiście, na czym opierał te dane, ale sądzę, że może mieć rację. Zwłaszcza, że przy wciąż wzrastającej łatwości dostępu do informacji, zainteresowanie książką – a przede wszystkim szczególnym rodzajem książki, jakim jest literatura piękna – nie wzrasta. Ale tak było zawsze. Już w czasach imperium rzymskiego więcej ludzi oglądało igrzyska z wypruwaniem flaków niż czytało Cyce-rona, albo Horacego. Choć to właśnie ich twórczość uważamy obecnie za główną reprezentację kultury Rzymu. Nie wiem, jak było w Atenach, ale sądzę, że podobnie – że przeciętnego mieszkańca interesowały bardziej ceny oliwy czy niewolnicy, niż teksty literackie.

MP: A nie wydaje się Panu, że mamy do czynienia z „klęską

urodaju”: przy tak niewielkiej ilości czytelników, coraz więcej jest ludzi piszących?

PH: Ilość piszących jest, niestety, ogromna. Nadal ludzie uważają, że napisanie i wydanie książki to jest coś niezwykle nobilitującego. Stąd ludzie, którzy mają już wszystko – choćby znani aktorzy – uważają, że koniecznie muszą jeszcze do swojego dorobku dodać książkę, albo chociaż zbiór wierszy.

MP: To prawda. Ale żeby byli to jedynie aktorzy, czy innego rodzaju celebrities, to jeszcze pół biedy. Mnie natomiast niepokoi to, że za pisanie zabiera się w tej chwili praktycznie każdy, a zatem, niestety, również osoby bez żadnego warsztatu, czy przygotowania teoretycznego. Twierdząc, że „wszystko jest poezją” i „pisać każdy może”, biorą się za coś, czego skutki zazwyczaj są opłakane. W dodatku w tej chwili wydanie książki, choćby własnym sumptem, nie stanowi żadnego problemu, a jeśli nie uda się jej wydać, to można ją przecież opublikować choćby w Internecie, który jest miejscem bardzo szerokiego wpływu literackiego różnej maści autorów.

PH: Zgoda, ale są, to konsekwencje do końca spełnionej, masowej demokracji. Każdy ma

Ilość piszących jest, niestety, ogromna. Nadal ludzie uważają, że napisanie i wydanie książki to jest coś niezwykle nobilitującego. Stąd ludzie, którzy mają już wszystko – choćby znani aktorzy – uważają, że koniecznie muszą jeszcze do swojego dorobku dodać książkę, albo chociaż zbiór wierszy.

Paweł HUELLE

prozaik, dziennikarz, wykładowca, laureat i nominowany do prestiżowych nagród m.in. Fundacji im. Kościelskich i Paszportu Polityki, autor książek przekładanych na wiele języków.

prawo głosu, niezależnie czy jest bardziej, czy mniej wykształcony. Ten typ demokracji różni się oczywiście od tego, co mieli na myśli Ojcowie Założyciele Stanów Zjednoczonych, bo w ich pojęciu koncepcja ta miała sens oświeceniowy, polegała na dźwiganiu niewykształconego ludu w górę. Natomiast teraz jest dokładnie odwrotnie. Ale niezależnie od tego, wciąż jeszcze literatura może dać mniej i bardziej wyrafinowanym czytelnikom niesłychanie dużo przyjemności. Nie jesteśmy skazani na uwiad literacki. Biblioteka, obok której siedzimy, zawiera kilkaset tysięcy atrakcyjnych tytułów, więc jeśli nawet nie byłoby współcześnie nic wartościowego, to zawsze można sięgać do klasyki. Najgorsze i irytujące jest natomiast to, że istnieje obecnie coś takiego jak przymus nowości. Ciągłe trzeba podsumowywać, robić rankingi, określać, jaka jest ta współczesna literatura. Tymczasem sztuka to nie jest architektura, w sztuce chodzi o coś innego, funkcjonują tu inne przedziały czasowe. Proszę popatrzeć na Młodą Polskę, ilu tam było reformatorów, ilu autorów we własnym mniemaniu tworzyło zręby pod nową kulturę polską. A dziś ile z tego zostało? Nic. A byli najgłośniejsi, mieli masę tytułów, artykułów, byli uważani za bogów swojej epoki. Dlatego byłbym ostrożny w ocenach współczesnej literatury. Zresztą

uważam, że książka dopiero po czyścu, po śmierci autora – jeśli nadal funkcjonuje – to znaczy, że faktycznie jest dobra. Z drugiej strony są książki, które po powstaniu wcale nie były głośne, a olbrzymią popularność zdobywały dopiero później – weźmy choćby „Wilka stepowego” Hermana Hessego. Dopiero kontrkultura amerykańska w latach sześćdziesiątych uczyniła z tej książki biblię pokolenia. Taki sam stosunek mam do nagród literackich – uważam, że to dobrze, że ich przybywa, że monopol „Nike” się w jakimś sensie kończy. Może to wytworzy pewne napięcie, pewną konkurencję, bo umówmy się, że każda kapituła ma swoje własne gusta. Ale nie zmienia to postaci rzeczy – to nie oznacza, że książka nagrodzona jest książką wybitną. Być może chodzi tu o sam mechanizm przyznawania wszelkich nagród, który polega na tym, że co roku trzeba kogoś nagrodzić, a tymczasem wcale nie musi być każdego roku wybitnych książek.

MP: To prawda, z cyklicznością nagród wiąże się przymus znalezienia raz do roku wybitnego arcydzieła. I założę się, że czasem nominuje się pewne pozycje właśnie z braku innych, wybitniejszych propozycji. Wtedy, zamiast książek dobrych, nagrody zdobywają książki głośne, skandalizujące.

Jak się nad tym głębiej zastanowić, to np. książki Doroty Masłowskiej to raczej książki głośnie, niż wybitne. Muszę przyznać, że trudno mi wśród książek napisanych przez moich rówieśników – przy całej sympatii do autorów, z których znaczna część jest moimi dobrymi przyjaciółmi – znaleźć choć jedną, która ma zadatki na dzieło ponadczasowe. To, co pisze Nahacz, Czerski, Odiya, Żulczyk, to są rzeczy może i dobre, ale nie wyjątkowe, nie niosą w sobie wielkiej, uniwersalnej wartości.

Założę się, że kończąc ten sam kierunek na tym samym uniwersytecie, i pan, i ja mieliśmy zupełnie inny zestaw lektur.

MP: Próbowałem znaleźć największe wady książek napisanych przez moich rówieśników. I doszedłem do wniosku, że albo mamy w tych książkach do czynienia z jakimś rodzajem gry środowiskowej, której nikt poza pewną grupą odbiorców nie rozumie, albo tendencję do straszliwego umartwiania się bohaterów, którzy obowiązująco niosą przez życie plecak

też świadczy w pewnym sensie o społeczeństwie – być może jesteśmy już tak dekadency, albo już tak syci pewnych rzeczy, że chcemy widzieć nieszczęście, upokorzenie, bo to działa na nasze emocje. Wydaje mi się, że zazwyczaj młodzi autorzy po prostu opisują swoje środowisko, no i to jest mało ciekawe. Bo co wynika z informacji, czy ktoś bierze, czy nie bierze, i skąd wziąć „kaskę” na kolejną imprezę. Wszystko to jest szalenie monotone i – co więcej – nie wnosi do naszej wrażliwości i wiedzy o świecie niczego nowego. Oczy-

Wolę artystów utalentowanych, bo uważam, że to artyści utalentowani potrafią pokazać coś wyjątkowego, czego nikt inny by nie potrafił zrobić. I w stosunku do takich artystów czuję podziw, a nie zazdrość. Natomiast wytwarzać produkty podobne czy takie same, moim zdaniem, nie ma sensu. No, ale żyjemy w czasach produkcji masowej. Taki na przykład Andy Warhol był artystą biznesu, a nie talentu. Sprzedawał pewne produkty za niebagatelne kwoty, nawet nie jako dzieła sztuki, ale wytwory sztuki.

nie dajmy się – jako wytrawni czytelnicy – uwieść temu, co się nazywa kulturą „zdarzenia”, „eventu”. Sama książka nie jest „wydarzeniem”, dlatego dziś niemal każdy wydawca wymusza na autorze, żeby był na promocji, żeby coś powiedział. Dawniej tak nie było, liczyła się książka, autor oczywiście istniał, były wieczory autorskie, ale nie było takiego zjawiska „wydarzenia”. Dziś się nie mówi o dziełach, tylko o projektach – rzeźbiarz, malarz, kompozytor – mówią „mój projekt”. A przecież mówimy o sztuce. Taka zmiana seman-



foto: T. Zerek

Powiedzmy: dziś czytelnicy zachwycają się „Samotnością w Sieci” Wiśniewskiego, uważają że jest to dzieło wybitne, stanowiące pewien pułap. Jutro będą się starali, pisząc, sięgnąć nie gdzieś wyżej, ale do tego właśnie pułapu.



Michał PIOTROWSKI

poeta i dziennikarz, redaktor literackiego kwartalnika „Migotania, przejaśnienia”, wokalista zespołu Towary Zastępcze, laureat m.in. Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Twórców

PH: Pan widocznie należy jeszcze do tej grupy czytelników, do której i ja się zaliczam – kształconej w przekonaniu, że istnieje pewien kanon wybitnych arcydzieł i wybitnych autorów, do którego przyrównujemy resztę. Powiedzmy, że takim wzorcem dla poezji XX wieku będzie Czechowicz, Szymborska, Miłosz, Tuwim – bardzo różni poeci, ale stanowiący pewien wzorec. Natomiast proszę pamiętać, że duże ciśnienie ruchów edukacyjnych jest obecnie takie, żeby żadnego kanonu nie było, żeby uznawać za wartościowe i godne zainteresowania to, co jest interesujące w danym momencie. I oczywiście można uznać, że jest to wolność, natomiast to powoduje również, że jakkolwiek dialog w pewnej grupie społecznej staje się niemożliwy. Jeśli kanonu nie ma, to każdy czyta coś innego. Dawniej istniał pewien kanon, pewna płaszczyzna dialogu, bo wszyscy czytali rzeczy podobne, kod był wspólny. Jeszcze w latach pięćdziesiątych i absolwent uniwersytetu niemieckiego, i francuskiego, polskiego, czy rosyjskiego – wszyscy czytali te same teksty. Obecnie, niestety, taka jest rzeczywistość, że można przejść przez wiele uniwersytetów europejskich, kończąc fakultet humanistyczny, i w ogóle nie sięgać po drogę do klasycznej literatury europejskiej.

pełen nieszczęść – pochodzą z rodzin dysfunkcyjnych, albo wychowują się w złym środowisku, albo są pod jakąś wielką życiową presją, albo pochodzą z tzw. marginesu. Z tym, że z tego nieszczęścia bohatera zazwyczaj nic więcej nie wynika. Ale przecież nie musi tak być. Niedawno wpadła mi w ręce książka Davida Foenkinosa „Potencjał erotyczny mojej żony”. Autor też zalicza się do pisarskich roczników siedemdziesiątych, a tymczasem udowadnia, że dobra literatura nie musi sprowadzać się do spisywania wszelkich możliwych nieszczęść. Wręcz przeciwnie – pisze lekko, zabawnie, a jednocześnie wcale nie banalnie. Naprawdę szkoda, że tego typu książek w polskiej literaturze nie ma prawie wcale. Jakbyśmy nie mogli się, jako społeczeństwo, uwolnić od takiego jakiegoś postrzegania wszystkiego w czarnych barwach.

PH: Nic tak dobrze się nie sprzedaje jak skandal, czy właśnie ludzkie nieszczęście. Ostatnio na festiwalu teatralnym w Edynburgu ktoś podsumował, że wszystkie przedstawienia, które zyskały aplauz publiczności, opowiadały o jakichś dewiacjach, o zgwałconych dziewczynkach i zamordowanych chłopcach. To

wiecie – można napisać genialną powieść o rzyganiu, ale trzeba mieć na to pomysł. A tymczasem w większości autorom brak takiego pomysłu. Wychodzi z tego po prostu taki mały realizm, który obraca się wokół drobnych spraw i sprawek.

MP: A więc może chodzi o to, że zmieniła się rola i funkcja literatury. Że obecnie pełni rolę, powiedzmy, towarzyską, środowiskową, że pisanie jako takie jest obecnie wyłącznie formą spędzania wolnego czasu. Natomiast nikt już nie wymaga od pisarza, żeby tworzył dzieła wybitne, czy choćby żeby brał za to, co tworzy, jakąkolwiek odpowiedzialność.

PH: Wie Pan, pytanie o dobrą literaturę to przede wszystkim pytanie o talent, który jest niezwykle rzadką rzeczą. W dodatku żyjemy w czasach, w których talent nie jest rzeczą niezbędną, żeby zaistnieć jako artysta. To się skończyło już za Duchampa, na początku XX wieku. Obecnie nie jest wymagane, żeby debiutant posiadał cechy wyróżniające spośród innych. Przeciwnie – im bardziej jest podobny do rówieśników, tym łatwiej i chętniej jest akceptowany. Funkcjonuje dziś zupełnie inna hierarchia wartości, niż ta, do której ja jestem przywiązany.

MP: Skoro jednak mamy do czynienia z zalewem kiepskich książek, to czy nie grozi nam wkrótce degradacja literatury? Powiedzmy: dziś czytelnicy zachwycają się „Samotnością w Sieci” Wiśniewskiego, uważają że jest to dzieło wybitne, stanowiące pewien pułap. Jutro będą się starali, pisząc, sięgnąć nie gdzieś wyżej, ale do tego właśnie pułapu.

PH: Co do pewnej degradacji – już Stanisław Lem dawno temu mówił, że inflacja i entropia nie dotyczą wyłącznie oddalających się galaktyk, ale również sfer kultury. Natomiast ciągle oczekiwanie, że będziemy mieli wylew arcydzieł, to jest, niestety, trochę wishfull thinking. Jeśli w danym pokoleniu zdarza się jeden, dwóch wybitnych pisarzy, to już jest dobrze. No, ale cóż – żyjemy w kulturze masowej. Gazety muszą mieć, muszą ciągle dostarczać czytelnikom „żeru”. A jak się niewiele dzieje, to trzeba nagłaśniać rzeczy de facto nie warte nagłośnienia. Natomiast ja nie uważam, że jeśli w ciągu najbliższego roku, czy pięciu lat, nie będzie wybitnej książki młodego pisarza, to się zdarzy jakieś szczególne nieszczęście. Patrząc z perspektywy historii literatury, nie jest to żaden szczególny dramat ani powód do narzekania. Dlatego

tyczna sygnalizuje zmianę wcześniej dokonaną: sztuka stała się przedmiotem pewnej inżynierii, socjotechniki. Teraz się bierze udział w projektach. Ale to właśnie wynika z kultury zdarzenia.

MP: Skoro tak, to nagrody literackie też mogą być postrzegane w kategoriach wydarzenia.

PH: To prawda. Niech Pan zobaczy, jak się traktuje przy okazji nagród pisarzy: najpierw są nominacje, potem się zbiera nominowanych autorów w jednej sali i w błysku fleszy daje się nagrodę jednemu z nich. Proszę zwrócić uwagę, że jest to coś w rodzaju konkursu piękności, albo gali rozdania Oscarów. Ale to też wynika z kultury „zdarzenia”, z tego, że trzeba tworzyć napięcie. Z tym, że moim zdaniem poddawanie takiemu napięciu autorów, zwłaszcza tych starszych, nie jest do końca eleganckie. Można by to zrobić jakoś inaczej, ale wtedy nie byłoby „wydarzenia”. Niestety – podporządkowaliśmy literaturę regułom popkultury i teraz musimy brać udział w tym spektaklu. Z drugiej strony dobrze, że są nagrody literackie, że mówi się głośno o literaturze, bo dzięki temu, przynajmniej raz do roku, osoby spoza branży być może zainteresują się czytaniem.

RECENZJA **Bogusław KIERC**, „Rafał Wojaczek. Prawdziwe życie bohatera”, Warszawa 2007.

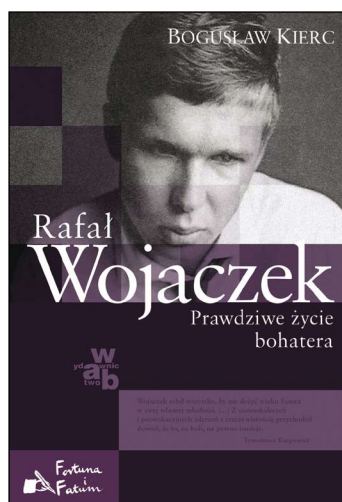
Rafał Wojaczek, który jest

Nierzadko biografia twórcy służy do otwierania utworów literackich. Bogusław Kierc – opiekun spuścizny Rafała Wojaczka, redaktor jego „Wierszy zebranych”, wrocławski poeta i aktor – używa poezji, by otwierać nią biografię poety. Kiedyś nie udało się Kiercowi omamić samego Wojaczka wizją Wojaczka-starego poety. Teraz – z niebywałą czułością i przekonująco – roztacza przed czytelnikiem wizję Wojaczka-klasyka.

Kierc pisze o wierszach autora „Sezonu” jak o ćwiczeniach duchowych. Nie tka fałszywej, wyolbrzymionej legendy, bo wybudował ją sam poeta. Zresztą nie miałby szans z nakręconym w 1999 roku filmem „Wojaczek” w reżyserii Lecha Majewskiego. Kierc nie tka biograficznego apokryfu, nie buduje obrazu Wojaczka, „którego nie było”, by użyć tytułu jego tomu. Czyni opowieść z orientacji ku śmierci, orzekania braku sensu, kryzysu niedopasowania, scenariuszy samobójstwa Wojaczka-robaczka. Ukazuje kolejne kontaminacje głodów, przyciąganie Tamtej Strony. Dlatego

w całej książce pojawiają się odwołania do „Króla Olch” Johanna Wolfganga Goethego. Jak pisał Wojaczek: „głos / Jest krzykiem i nikogo to nie obchodzi”. Wołał i słyszał wołanie – jak chłopiec w niemieckiej balladzie.

Przed wszystkim Kierc występuje w książce z pozycji interpretatora – i biografii, i twórczości, które są w przypadku Wojaczka konsekwentne i wspólne. Zauważa powinowactwa śmierci i macierzyńskiej kobiecości w poezji autora „Innej bajki”. Do Elżbiety Fediuk pisał Rafał Wojaczek: „Zyskałem niejakią lekkość – może Ty będziesz – jesteś moją prawdziwą śmiercią?”.



Silnie kojarzy mi się to zdanie z wierszem niemieckiego poety, którego twórczość Wojaczek niewątpliwie znał. Paul Celan napisał taki oto trójwers: „Tobą była moja śmierć: / ciebie mogłem zatrzymać, / gdy postradałem wszystko”.

O psychotycznym, bezkompromisowym Rafale Wojaczku mówi się: błędny rycerz, poeta przeklęty, pustelnik, mitotwórca, książkę rozpusty, kabotyń, błazen, bluźnierca, anioł ciemności... Debiutował pod skrzydłami Tymoteusza

Karpowicza w 1965 r. na łamach „Poezji”. Szedł swoją drogą, bez zapatrzenia w tworzącą się obok figurację poetycką, choć pewne zasady dysponowania materiały poetycką były wspólne choćby jemu i Karpowiczowi. Chciał mocno wkraczać na nowe łądy poezji, nie uciekając od zanurzenia w rzeczywistości. Gubił się jednak w celach swoich kolejnych – głównie życiowych – transgresji. Triada „mózg, krew, nasienie” z wiersza Wojaczka „W nieśmiertelnej potrzebie” krótko charakteryzuje jego poezję. Równie dobrze opisywać by mogła wiele z wierszy „Odwróconego światła” Karpowicza (niektórzy uważają, że był taki czas, gdy mistrz terminował u ucznia), który pisał o Wojaczku: „Proszę zauważyć: rzeczywistością jest tu język, a rzeczywistość – językiem. A może poezja była już dla niego tożsamością życia – zniszczył również i jej gramatykę”. W 1969 roku wydał pierwszy tom poetycki, „Sezon”, rok później „Inną bajkę”, a po śmierci poety ukazały się – przygotowane jeszcze za życia: „Nie skończona krucjata”, zadedykowana

„Mistrzowi Mowy Polskiej Tymoteuszowi Karpowiczowi”, i „Ktorego nie było”. W nocy z 10 na 11 maja 1971 Rafał Wojaczek popełnił samobójstwo.

Zawsze wiele palił i wiele czytał. Do najbardziej cenionych przez niego pisarzy należeli Fryderyk Nietzsche, Fiodor Dostojewski, Tomasz Mann, Franz Kafka, Charles Baudelaire, Rainer Maria Rilke. Bogusław Kierc wskazuje na rzadziej przywoływane dorzecza tej poezji – np. twórczość romantyków, a szczególnie Juliusza Słowackiego.

Janusz Sławiński zauważał, że wspominaniu błahostek czytelnicy mają za złe, iż gubią niezwykłość postaci, zaś stawianiu pomników – że pozbawiają wspomnianego cech ludzkich. Konkludował: „Sytuacja wspomnienia – jako takie go – wydaje się beznadziejna: żadna jego realizacja nie może liczyć na pełną aprobatę odbiorcy”. Bogusław Kierc napisał biografię nie tylko ze wspomnień. Napisał ją z wierszy, notatek, dokumentów. Jego „Wojaczek” może liczyć na aprobatę.

Joanna ROSZAK

RECENZJA **Grzegorz WRÓBLEWSKI**, „Noc w obozie Corteza”, Poznań 2007.

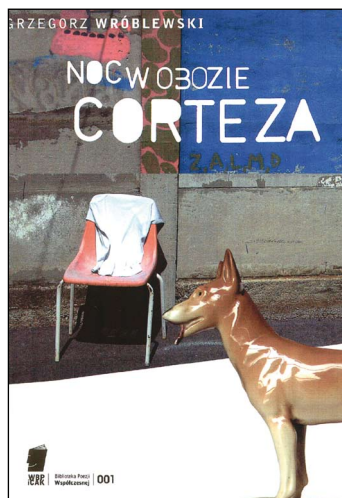
Wiersze z zagranicy

Kilkanaście lat temu, gdy każdy, kto pisał o poezji, musiał odnieść się do środowiska związanego z „brulionem”, Grzegorz Wróblewski wymieniany był w ścisłej czołówce tej formacji. Nie to jest jednak ważne, co było. Ważne, że pomimo upływu czasu jego energia twórcza nie uległa rozproszeniu, rozdrobnieniu, o co nie trudno. Dzisiaj Wróblewski jest autorem, który wie, co chce powiedzieć, a na dodatek robi to głosem czystym i własnym.

„Noc w obozie Corteza” nie jest tomem łatwym. Raz, ze względu na stosowaną przez autora przewrotną „poetykę soczewki” – im krótszy tekst, im mniej środków poetyckich, tym silniejsze powiększenie, tym więcej problemów daje się w nim dostrzec. Dwa, do tego zbioru wierszy trzeba podchodzić z wyjątkowo wzmoczoną czujnością. Okazuje się, że dość ciężko otworzyć tom poznając wiersze po kolei, że czytelnik, podważając strony, musi też z mozołem wywalczyć drogę do środka zbioru, gdy ten gościnie zaprasza go do siebie, jednak wtedy, gdy lekturę zacząć od końca: od ostatniej, trzeciej części.

Jej trzon stanowi bardzo spójny, świetnie napisany i doskonale

skomponowany cykl sześciu utworów: od „Noc w obozie Corteza” do „*** [I wszystko się szybko skończyło.]”. Ta poetycka mikro-narracja (całość zajmuje zaledwie 18 wierszy) roztacza istic epicką perspektywę, obejmującą bez mała dwa lata czasu historycznego – ustalenie arbitralne, jednak nie zupełnie nieuzasadnione – od 8.11.1519 do 13.08.1521. Wtedy to wojska hiszpańskie pod dowództwem Corteza, wykorzystując wiarę mieszkańców, iż Cortez jest wysłannikiem boga Quatzelcoatla, wpięrow zajęły stolicę państwa Azteków, następnie uwięziły króla Montezumę II, doprowadziły do rzezi na notablach azteckich w czasie uroczystości u stóp Wielkiej Świątyni,



zostały wyparte z miasta i zdiesiątkowane podczas odwrotu w czasie „Smutnej nocy”, by ostatecznie doprowadzić do upadku Tenochtitlan. Gdy czytam te wiersze, znajduję w nich podobny rodzaj wrażliwości do tej, która napędza niektóre utwory Borgesa (choćby „Hengist wzywa mężczyzn”).

Część trzecią otwiera jednak inny tekst – „My i gwiazdy”:

*Obserwowałem siebie
patrzącego w gwiazdy
(Czy ktoś jeszcze nas widział?)*

Ten rodzaj optyki sięga głębiej w tradycję, niż to się pierwotnie zdaje. To w Platonie „Timaios” odnaleźć można słowa o tym,

iż postawa kontemplacji niebios, kontemplacji bogów skrytych w niebiosach, a tym samym poszukiwanie siebie samego w ich wzroku, jest w istocie postawą filozoficzną. W ten sposób poetycki projekt Wróblewskiego nie ogranicza się do przypomnienia historii Meksyku, lecz stanowi próbę refleksji nad jednostką i społecznościami uwikłanymi w historię, a zwłaszcza nad mechanizmami władzy.

Nie chodzi tylko o władzę, jaką napawali się kolonizatorzy. Wróblewski, opowiadając o relacjach kolonizator-tubylec, mówi jednocześnie o szeregu innych opozycji: cywilizacja Zachodu/kultura pierwotna, poznane/obce, wiedza/mądrość, technika/wiara. Projekt Wróblewskiego stara się podważyć granicę pomiędzy nimi, sięgnąć mocą słowa do tego, co inaczej niedostępne.

Lecz jest to niejako pierwszy etap rozpoznawania zagadnienia. Wraz z ponowną lekturą części I i II, okazuje się, że wiersze w nich umieszczone (np. „Uroczystość”, „Coś tajemniczego”), bardzo odmienne od tych finałowych – obszerniejsze, osobiste, niemal intymne – to wprowadzenie, sygnalizowanie tematów. Jakkolwiek w rezultacie książka rozpada się na dwa niesymetryczne

zbiory, to wchodzą one w dialog, a ostateczne pytanie poety brzmi, jak możliwa jest obcość w ogóle, jak opowiedzieć inność. Wróblewski, jak się zdaje, mówi, iż obcość najbliższej osoby i Azteka sprzed pięćset lat mają coś wspólnego. Każda z nich stanowi odmienny kod, który zderza się z kodem moim, własnym, który chce je zagarnąć, opanować. Przy każdej z nich dochodzi do podobnych tarć. Ślady tego myślenia odnaleźć można też w poprzednim tomie „Pomieszczenia i ogrody” (2005).

Rok 2007 to prawdziwy szturm Grzegorza Wróblewskiego na czytelnika i na rynek księgarski. Na przestrzeni kilku miesięcy obok „Nocy...” ukazała się książka prozatorska „Android i anegdota” oraz traktat „Nowa kolonia”; wydawnictwo w Cambridge wydało wybór wierszy w języku angielskim. Czy taka strategia walki o swoje miejsce jest słuszną, okaże się niebawem. Faktem pozostaje, że Wróblewski, na co dzień mieszkający w Danii, to autor, który nie tylko nie należy do mainstreamu życia literackiego, ale i jest przemilczany przez krytykę – niesłusznie.

Krzysztof HOFFMANN